

Clémentine Beauvais

# *Pasztesy, do boju!*



Dwie  
Siostry

Ścieżka dźwiękowa:

ELEPHANZ — *Time for a Change*  
STROMAE — *Papaoutai*  
JANE BIRKIN — *Être ou ne pas naître*  
INDOCHINE — *3 nuits par semaine*  
JONI MITCHELL — *All I Want*  
FRANÇOISE HARDY — *Soleil*  
LISA LEBLANC — *Y fait chaud*  
WE WERE EVERGREEN — *Penguins and Moonboots*  
M — *Les Triplettes de Belleville*  
INDOCHINE — *L'aventurier*  
MUSE — *Invincible*  
THE TURTLES — *Happy Together*  
NANCY SINATRA — *These Boots Are Made for Walking*  
LOUIS ARMSTRONG — *What a Wonderful World*

*Moim ulubionym burgijkom i burgijczykom,  
którzy się tu przewijają.*

C.B.

Clémentine Beauvais

# Pasztety, do boju!

z języka francuskiego przełożyła  
Bożena Sęk



Wydawnictwo Dwie Siostry  
Warszawa 2020

**CZĘŚĆ PIERWSZA**  
**BOURG-EN-BRESSE**

No, wyniki są na fejsie: jestem Brązowym Pasztetem.

Trochę słabo. Przez dwa lata miałam tytuł Złotego Paszteta i myślałam, że nikt mi go nie odbierze, a tu co? Figa.

Sprawdziłam, kto zwyciężył. Jakaś nowa z pierwszej B; nie znam jej. Nazywa się Astrid Blomvall. Ma jasne włosy, dużo przyszczy i takiego zeza, że widać jej tylko połowę tęczówki, reszta chowa się pod powieką. Trudno się dziwić, że ją wybrali.

Srebrnym Pasztetem została ta mała z pierwszej gimnazjum, Hakima Idriss. Fakt, ona też jest megabrzydka, ma czarny wąsik i potrójny podbródek; wygląda jak stara wydra.

Słodziak Malo zamieścił komentarze pod zdjęciami osiemnastu kandydatek. Mnie zaszczycił takim tekstem:

„Konkurencja była duża, ale dla mnie i tak Mireille Laplanche jest bezapelacyjnie królową Pasztetów. Na wieki będę miał w pamięci jej galaretowaty tyłek, obwisłe cycki, kartoflowaty podbródek i świńskie oczka”.

Było już pod tym pełno lajków (78).

Dodałam swojego (79).

Następnie zeszałam do jadalni i oznajmiłam mamie:

— W tym roku mam Brązowego Paszteta!

— Aha. I co, powinnam ci może pogratulować?

— Bo ja wiem? Wolałabys, żebyś dalej była Złotym?

— Wolałabym, żebyś w ogóle nigdy nie była wybierana.

— Było nie iść do łóżka z takim obrzydliwym staruchem.

— Nie wyrażaj się źle o ojcu.

— Nie można wykluczyć, że byłby ze mnie dumny.

— Nie byłby dumny.

— Napiszę do niego.

— Nie pisz.

— „Kochany Tatusiu, na zakończenie roku szkolnego Twoja ukochana córeczka zdobyła tytuł Brązowego Paszteta Zespołu Szkół Ogólnokształcących imienia Marie Darrieussecq w Bourg-en-Bresse. Wielka szkoda, bo zwykle jest Złotym Pasztetem”.

— Denerwujesz mnie, Mireille. — Mama spogląda na sufit i mówi do lampy Habitat: — Nie cierpię nastolatków.

Mój ojciec jest pół Francuzem, pół Niemcem. W trosce o dyskrecję nazwijmy go Klaus von Strudel. To profesor paryskiej Sorbony, pisze książki filozoficzne. Był też promotorem mojej matki, kiedy robiła doktorat, i widać nieźle nią pokierował, bo zaszła w ciążę i stąd wzięłam się ja. Niestety, ich związek musiał pozostać tajemnicą! Bo Klaus był wtedy — zresztą dalej jest — mężem osoby o niesamowitym potencjale. Dowód? Ta osoba to od dwóch lat prezydentka naszej pięknej Francji. Dla niepoznaki będziemy ją nazywać Baracka Obamka.

Baracka Obamka i Klaus von Strudel doczekali się trzech synów, czyli moich braci przyrodnych. Wszyscy noszą kretyńskie imiona greckich herosów, ale żeby ich rozróżnić, będę używała przydomków: Joël, Noël i Citroën.

Z niejasnych dla mnie powodów mama wyjechała z Paryża, jak tylko się dowiedziała, że jest w ciąży; zdecydowała się zostać nauczycielką w liceum w Bourg-en-Bresse, stolicy departamentu Ain (numer 01). Wyszła za pana Philippe'a Dumonta, który jest dokładnie taki, jak wskazuje jego nijakie nazwisko.

Mieszkamy sobie we trójkę w zadbanym domku z ogródkiem razem z psem Kiciusiem i kotem Kiribulem.

Czy jestem w kontakcie z Klausem? Nie, bo nie odpisał na żaden mój list. Zamiast odpowiedzieć córce, do której się nie przyznaje, udziela wywiadów dla „Philosophie Magazine”. I mniej więcej raz na trzy lata płodzi traktat metafizyczny. Mama te książki kupuje i czyta, ja też czytam, chociaż ona mi mówi: „Nic z tego nie zrozumiesz, Mi-reille, to trudne”. Mimo wszystko czytam każdą i czasem nawet coś tam do mnie dotrze.

Klaus pisze takie na przykład rzeczy:

„Za sprawą realizmu spekulatywnego ustanowiony został aktywny gmach metafizyki zdekantyzowanej...”

„Myśl Quentina Meillassoux wstrząsa współczesną metafizyką i narzuca jej orgastyczne spazmy...”

„Nie dopuszczam wszakże nastania filozofii wykastrowanej z Platona i Kartezjusza...”

Ja:

— Straszny świntuch z tego Klaua.

Mama:

— Przestańże wreszcie! Po pierwsze on nie nazywa się Klaus, a po drugie nic nie rozumiesz, jego myśl jest rewolucyjna, ale ty tego nie rozumiesz, nie możesz zrozumieć.

— Mamo, on porównuje Platona i Kartezjusza do pary jąder.

— Piętnaście lat! — jęczy moja matka. — Piętnaście lat... to naprawdę najgłupszy wiek na świecie!

— O przepraszam, piętnaście i pół roku.

Pierwszy list do Klaua wysłałam, gdy miałam osiem lat:

*Dzień dobry,  
dowiedziałam się od mamy (Patricii Laplanche), że Pan jest moim ojcem. Chciałabym się z Panem spotkać w Paryżu i zobaczyć [Joëla i Noëla]\*. Chodzę do Szkoły Podstawowej Laurenta Gerry, mam dobre oceny i nauczyłam się czytać, jak miałam cztery lata.*

*Do zobaczenia.*

*Mireille Laplanche*

\* Citroëna wtedy jeszcze nie było na świecie.

Drugi napisałam, kiedy miałam dwanaście lat:

*Szanowny Panie,  
nie odpisał Pan na mój poprzedni list. A fajnie by było dostać odpowiedź. Chodzę do pierwszej klasy gimnazjum w szkole Marie Darrieussecq. Jestem najlepszą uczennicą w klasie. Bardzo bym*



*chciała się z Panem spotkać. W Paryżu albo gdzie indziej. Moja komórka to [...].*

*Pozdrawiam serdecznie.*

*Mireille*

Ostatni napisałam trzy miesiące temu:

*[Klaus],*

*jesteś moim ojcem. Wiesz o tym, bo oczywiście dostałeś moje dwa poprzednie listy. Widuję Cię w telewizji z [Baracką Obamką], [Joëlem, Noëlem] i [Citroënem]. I naprawdę świństwo mi robisz, że nie odpisujesz. Mam piętnaście lat, nie jestem głupia. A jeśli się boisz, że stoi za tym mama, to możesz się nie martwić. Przeczytałam wszystkie Twoje książki. Zadzwoń do mnie.*

*Mireille*

Porażka za porażką porażkę poganiam. Mama dobrze wie o ostatnim liście, bo zanim go wysłałam, poniewierał się na stole.

**[Klaus von Strudel]**

**Pałac Elizejski**

**Paryż**

**Panie listonoszu, nie zwlekaj, ojcowska miłość nie chce czekać!**

— Bardzo śmieszne — powiedziała mama, kiedy to zobaczyła. — Bardzo śmieszne. Aleś mnie ubawiła, dziecko! Uśmieiałam się do łez.

— Uważasz, że powinniśmy pozwolić jej to wysłać? — zapytał Philippe Dumont z niepokojem (= wywinięta warga + skubanie guzików u mankietów).

— Niech robi, co chce, to jej sposób, żeby zwrócić na siebie uwagę — odparła mama. — I tak jej nie odpowie, więc to bez znaczenia.

Philippe Dumont zawsze strasznie się smuci, że nie wypełnia luki, którą zostawił w moim życiu Klaus von Strudel. Zabiera mnie do kina, muzeów, kręgielni. Pozwala mi wyjadać krem kasztanowy ze słoika. Mawia: „Traktuj mnie jak swojego ojca, Mireille, jestem twoim ojcem!”. Ja zasłaniam buzię dłońmi i dudnię: „Huuuuf... huuuuf... jestem twoim ojcem!”. A on wtedy się drze: „To mój dom, Mireille! Moja kanapa! Bądź łaskawa pamiętać, że mieszkasz u mnie”. W połowie to prawda, bo do mamy należy pół domu, tyle że nie spłaciła jeszcze swojej części kredytu (przez marną nauczycielską pensję), za to Philippe jest notariuszem i rotarianianem, co znaczy, że należy do Rotary.

— Mamo, co to jest Rotary?

— Klub dla ludzi takich jak Philippe, którzy wykonują różne zawody, spotykają się, dyskutują na rozmaite tematy, przedstawiają sobie nawzajem swoje dzieci.

Philippe zabiera mnie ze sobą w celu pokazania kolegom.

— Poznajcie Mireille, córkę Patricii.

Rotarianie są zachwyce-ni, że mogą uścisnąć dłoń Quasimoda nad kanapką z czerwonym kawiozem na bankiecie bożonarodzeniowym. Kiedyś, miałam chyba z dziewięć lat, jakiś bystrzak zauważył:

— Ta mała jest niezwykle podobna do tego filozofa, no wiecie...

I tu zaświtała mi iskierka nadziei; popatrzyłam na gładko wygolonego gościa o twarzy czerwonej od trądziku i zaczęłam sobie powtarzać w myślach: „No powiedz to, powiedz, że jestem podobna do Klausa von Strudla, niech ludzie zaczną kombinować, niech skojarzą daty. Może jeśli całe Bourg-en-Bresse podpisze petycję, Klaus wreszcie przyzna, że jestem jego córką!”.

Ale odezwała się jakaś pani:

— Do Jeana-Paula Sartre’a?

I gość kiwnął głową.

— Właśnie! Do Jeana-Paula Sartre’a.

— Komplement to raczej nie jest! — prychnęła pani.

— Nie jest — zgodził się szczerze pan.

Google → Jean-Paul Sartre → staruch z zezem brzydki jak noc.  
Chyba jeszcze gorszy niż Klaus.

Następnego dnia rano oświadczyłam mamie:

— Założę się, że jakbyś spotkała Sartre’a, wylądowałabyś w jego łóżku.

— Chcesz oberwać?

— Mówię tylko, że by ci pasował. Filozof, rewolucjonista z takich, co wymyślają wielkie teorie, i w ogóle... Mamuńciu, to komplement! Czemu o wszystko się obrażasz?

— Czy ty w końcu zaczniesz mnie szanować? Nie sypiam z każdym, kto się napatoczy, czy jest filozofem, czy nie.

— W każdym razie informuję, że on nie żyje. Jean-Paul Sartre zmarł w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym. A ja się urodziłam milion lat później, więc na bank nie mógł być moim ojcem.

— Potwierdzam — zgrzytnęła moja matka.

Później przez dłuższą chwilę śpiewałam marsz pogrzebowy (tam-tam-tadam-taaam-tadam-tadam-tadam), żeby oddać hołd pamięci Jeana-Paula Sartre'a. Mama w końcu się zdenerwowała:

— Ucisz się, Mireille, uszy puchną!

I wtedy wyciągnęłam jeszcze coś, czego nie należało ruszać:

— Mamuńciu, a wiesz, czego się dowiedziałam na historii? Że po drugiej wojnie wygolili głowy wszystkim Francuzkom, które spały z Niemcami. Pomyśl tylko, niewiele brakowało...

Patrzyła na mnie i patrzyła, a ja przysięgłabym, że powtarza w myślach, co powiedziałam, ale nie dowierza. Trochę się przestraszyłam, mimo to dodałam dla jaj:

— Dup i tracisz czub!

Łup. Dostałam w dziób.

— Marsz do swojego pokoju. Nie chcę cię widzieć na oczy.

Nie mam pojęcia, czemu tak lubię grać matce na nerwach. Nie mam pojęcia, czemu wylałam do ubikacji całą butelkę perfum Flower by Kenzo, które Philippe Dumont wspaniałomyślnie podarował mi na urodziny — „Mireille, podziękowałaś Philippe'owi za perfumy, które wspaniałomyślnie podarował ci na urodziny?” — i specjalnie nie spuściłam wody, by do niego dotarło, że jego pięćdziesiąt cztery pachnące euro trafiło do kanalizacji.

Nie mam pojęcia, czemu to wszystko robię, ale tak jest i już.

**Kaprawy:** *przym.* zaropiały.

Kaprawe oko.

Kaprawe — to znaczy obklejone tą lepką białą mazią, którą wydzielają oczy. To oko jakby zalepione własną biegunką oczną.

Takie właśnie oko patrzy na mnie przez brązową szybę kuchni.

— O ja cię... a to co?

To coś stuka w szybę — z rąk wypada mi rolka ręcznika kuchennego, toczy się i rozwija jak czerwony dywan (tyle że biały) do samych przeszklonych drzwi wychodzących na ogród. Idę do nich tą wytyczoną ścieżką, otwieram.

To Złoty Pasztet: Astrid Blomvall. Po ciemku przestępuje z nogi na nogę w moim ogródku, czuję na sobie spojrzenie jej kaprawych oczu (zwłaszcza lewego). Ubrana jest w ciemnoniebieskie džinsy, o wiele za obcisłe, i w czarny tiszert z napisem INDOCHINE i ze smętnymi koleśkami na łuszczącym się zdjęciu. Dwa grube łąpska, różowe, flakowate i pryszczate, wystają jej z rękawów. Ma różową rozlazłą twarz, włosy jasne jak sznurek do wiązania pieczeni zebrane w koński ogon, a w lewym policzku dołeczek, dołeczek, który, no słowo daję, jest

jakby rekompensatą za tę rozlazłą twarz, i kiedy Astrid Blomvall uśmiecha się do mnie, natychmiast mości się w nim moja sympatia.

Zaraz po tym uśmiechu Astrid Blomvall, jakby żałowała, że odsłoniła uzębienie, spogląda na swoje stopy (wbite w sandały na rzepy).

— Cześć... — mamrocze. — Sorki, ale tak się zastanawiałam, czy przypadkiem nie jesteś tą Mireille Laplanche, sorki, że przeszkadzam, wiem, że już późno, znalazłam twój adres w internecie.

— Chodź, Astrid, zaraz wszystko sobie wyjaśnimy — mówię, wprowadzając ją po czerwonym dywanie, który jest biały. — Nie musisz mi tu za nic sorkować. Ukradłaś mi tytuł Złotego Paszteta, i dobra! Nie mam ci za złe. Uważam, że każdy ma prawo do odrobiny rywalizacji w życiu. Uważam, że każdemu trzeba dać szansę.

Wlepia we mnie oczy, znaczy tylko jedno, bo drugie schowało jej się pod powieką.

Hm. Najwyraźniej nie załapała żartu; ludzie często nie łapią moich żartów.

I kurde, płacze. Alarm powodziowy! Układajcie worki z piaskiem, budujcie tamy!

— Nie becz, Astrid Blomvall. Słyszysz, nadobna panno? Nie becz, bo się odwodnisz! O, masz, wytrzyj nos.

Kłękam, by oderwać parę kawałków z mojego czerwonego dywanu, który jest biały, i wręczam jej kłęb papieru, jakbym się oświadczała. Soczyście wydmuchuje nos. Sadzam ją na taborecie z Ikei, który nietaktownie skrzypi pod jej ciężarem. Nasz kot Kiribul, sądząc, że to ja usiadłam (bo taboret zwykle dla mnie przeznaczają takie nieuprzejme skrzypnięcie), wpada do kuchni i wskakuje Astrid Blomvall na ko-

lana. A ona bezmyślnie zaczyna go drapać po grzbiecie, co zachęca Kiribula do zadarcia ogona i zadka i wyeksponowania jasnobrażowej dziurki w dupce; następnie kot się odwraca i zaczyna zlizywać łyzy, które spływają Astrid po policzkach. Miło z jego strony, choć to trochę nieprzyjemne, bo jego język jest jak kawałek rzepu.

— Mój kot Kiribul — przedstawiam. — Astrid Blomvall. Czemu ryczysz, Astrid?

— No bo zostałam Złotym Pasztetem — chlipie Astrid. — To jak mam nie ryczeć? Dopiero rok, jak jestem we Francji, dopiero co przyjechałam do Bourg-en-Bresse, a już mnie wybierają na Złotego Paszteta.

— Gdzie przedtem mieszkałaś?

— W Szwajcarii, u sióstr.

— U czyich sióstr?

— U sióstr, u zakonnicy, no wiesz, w szkole katolickiej.

— Łeee! — krzywię się mocno i trzepię rękami na znak, że bardzo umiarkowanie pochwalam wybór modelu edukacji, którego dokonali jej rodzice.

Właśnie, czym się zajmują jej rodzice? dopytuję.

— Matka robi ceramikę artystyczną, ojciec jest Szwedem.

— Szwed to dobre zajęcie?

— Znaczący on mieszka w Szwecji. Robi różne rzeczy, nie bardzo wiem co.

— Mam nadzieję, że nie on wymyślił ten taboret dla Ikei — mówię, surowo wskazując palcem stołek. — Jest za mały nawet na jeden mój półduppek i za każdym razem daje mi to do zrozumienia.

— Dziwna jesteś — odpowiada mgliście Astrid w zamyśleniu.

Ponieważ jestem nie tylko dziwna, ale także wspaniałomyślna, proponuję jej fantę. Potem resztkę szynki z kością. Potem kawałek tiramisu — które zrobiłam sama, tymi rączętami. Informuję ją o tym, w odpowiedzi słyszę, że dobra ze mnie kucharka.

— To dlatego, że moi dziadkowie mają restaurację. Wpadłam do niej, kiedy byłam mała. Jak Obelix. I stąd może podobny wskaźnik masy ciała.

— Ja jestem do niczego w kuchni — jocy Astrid. — Ale robię pyszny kompot jabłkowy. — I zaraz dodaje: — Jak ty możesz wytrzymać, że zostałam Pasztetem? To okropne... Naprawdę okropne mimo wszystko.

— Och, ja mam nadludzką odporność. Wiem, że moje życie stanie się dużo lepsze, kiedy będę miała dwadzieścia pięć lat. Więc czekam. Jestem bardzo cierpliwa.

— To smutne, jak trzeba czekać, żeby było lepiej.

Mam ochotę jej odpowiedzieć: „Och, tylko przez pierwsze trzy lata, potem człowiek się przyzwyczaja”. Ale jasno widać, że biedna Astrid u tych sióstr nie przeszła takiej zaprawy jak ja: na pewno nikt nie potarzał jej dość często, że jest spasionym małpoludem. Bo ja tyle razy słyszałam takie uwagi, że teraz mam je gdzieś. Spływają po mnie jak woda po liściach lotosu.

No chyba że jestem akurat zmęczona albo mam okres, albo katar; w takich chwilach OK, może się zdarzyć, że stracę nieprzemakalność. Ale nie dziś. Dziś ze mną wszystko w porządku, a Złoty Pasztet mnie potrzebuje.



Tytuł oryginału: *Les Petites Reines*

© Copyright by Editions Sarbacane, Paris 2015

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Dwie Siostry, Warszawa 2017

© Copyright for the Polish translation by Wydawnictwo Dwie Siostry, Warszawa 2017



Cet ouvrage a bénéficié du soutien des Programmes  
d'aide à la publication de l'Institut français.

Książkę wydano dzięki dofinansowaniu Institut français  
w ramach programów wsparcia wydawniczego.

Wydanie I

ISBN 978-83-8150-159-0

**wydawnictwodwiesiostry.pl**

tlumaczenie: Bożena Sęk

redaktor prowadzący: Maciej Byliniak

redakcja: Dominika Cieśla-Szymańska

korekta: Anna Mirkowska, Maciej Byliniak

projekt okładki i stron tytułowych: Małgorzata Herba

skład wersji elektronicznej: Piotr Bałdyga, Tomek Domański

Ta książka jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy o przestrzeganie praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Wydawnictwo Dwie Siostry sp. z o.o.

al. 3 Maja 2 m. 183

00-391 Warszawa

Biblioteki, szkoły, przedszkola, księgarnie i inne instytucje zainteresowane ofertą specjalną zachęcamy do kontaktu z działem handlowym (handlowy@wydawnictwodwiesiostry.pl, +48 577 888 278).